

Na jagody

Powyżej na zdjęciu Aga szuka jagód

Po gwałtownej sprzeczce z żoną mężczyzna spytał:

*– Dlaczego nie możemy żyć w zgodzie, tak jak nasze dwa psy?
One nigdy nie walczą.*

– To prawda – zgodziła się żona. – Ale zwiąż je razem, a zobaczysz, co się stanie.

Powyższy cytat pochodzi z książki De Mello – „Modlitwa Żaby”. Tak sobie o nim przypomniałem w po powrocie ze wspinaczki z małżowiną. Ogólnie było spoko, bo wydulanie butelki wina na skale oglądając zachód słońca zdecydowanie może zapaść w pamięć. Szczególnie, jeśli nie zabrało się korkociągu i do otwarcia przymierzyło się ze szpilką od namiotu i jebadełkiem. Cóż za niespodzianka była, gdy okazało się, że to afrykańskie białe wino było zakręcone nakrętką! No a potem namiocik w lesie i ogólnie styl „na dziko”. Jeden tylko kleszcz po mnie łaził, ale nie zdążył się wgryźć. Jak to kolega w pracy mawia: kto nie ryzykuje ten nie pije szampana.



Widok ze skały po skończonym dniu

Z tego pierwszego dnia pamiętam jeszcze to, że Aga utkwiała w trudnościach. A te polegały na tym, że w skale rosły jagody. Aga szarpała pazurami owoce i kiedy wchodziła na górę to myślałem, że ma hipotermię, bo usta miała przeraźliwie sine. Nie chodziło jednak o niską temperaturę, tylko o pożerane przez nią owoce prosto z krzaka.

A następnego dnia postanawiamy przejść grań 3 sióstr. No i po pierwszej siostrze siedliśmy na ławce i zastanawialiśmy się nad górskim rozwodem. Dokonaliśmy jednak korekty i ruszyliśmy dalej. Poszło gładko, bo tym razem kąty natarcia zasadzanych przeze mnie friendów satysfakcjonowały moją małżowinkę. Dokończyliśmy drogę i choć rozwiązaliśmy łączącą nas linę, to pozostaliśmy w związku.

To przejście było jednym z pierwszych kroków, by wspólnie zasadzić się na jakąś alpejską graniową przebieżkę. Na taką, co oferuje coś więcej niż człapanie. Czy w tym roku? Chyba nie. W przyszłym na pewno.

Dziku



„Są tam jagody?”

Kombinacja Ślężańska

Zdolność sprawnego pokonania dystansu około 25km wraz z przewyższeniem wynoszącym blisko 2,5 tys. m w górę oraz w dół pozwoli na szybkie zdobycie co najmniej kilku alpejskich 4-tysięczników.

Ciężki temat

Plan szybkiego przejścia tej trasy chodził mi po głowie od jakiegoś czasu. Zostałem jednak zniechęcony w brutalny sposób, kiedy to w rozmowie ze świeżo poznaną osobą dowiedziałem się, że osoba ta niedawno zrobiła sobie podobny trening. Z tą różnicą, że kolega, z którym rozmawiałem nie wchodził na Ślężę, lecz na nią 3 razy wbiegł.

To już drugi raz, kiedy zostałem obdarty z poczucia wyjątkowości. I to jeszcze zanim się za inicjatywę zabrałem. Ostatnio w Alpach też zostałem sprowadzony na ziemię, planując szybkie wejścia w weekend na dwa 4-tysięczniki, a tymczasem inny kolega podczas tego samego wypadu zdobył oba jednego dnia. Jakby tego było mało, to jeszcze był to jego pierwszy w życiu wypad w Alpy. Był natomiast wcześniej na Waligórze (zimą!).

No i weź tu teraz odnajdź się w takiej rzeczywistości. A tu już dziennikarze powiadomieni, dzieci z kwiatami na szlaku czekają. A człowiek nagle widzi, że jest maciupki jednak i lepiej, żeby nie kozaczył za bardzo bo po uszach dostanie. Pokora, pokora i jeszcze raz pokora. Nigdzie się tego lepiej nie nauczysz jak w górach.

Którędy na Ślężę

Zatem pojechałem w niedzielę rano na przełęcz Tąpadła zamiast do kościoła. Ale jak to Pan Heschel powiedział: „Ja idąc modłę się nogami”.

O 6:26 ruszam na szlak a już o 6:55 cykam pierwsze zdjęcie pod krzyżem. Dosłownie w momencie wymarszu zmieniłem decyzję i postanowiłem podejść żółtym a zejść na koniec niebieskim szlakiem. Nie wiem czy to dobrze, bo nacierpiałem się co nie miara na tym drugim. Ale to potem.

Ze szczytu schodzę innym niebieskim, wpadam na czarną pętlę i dobijam do żółtego przy schronisku Pod Wieżycą. Tu widzę na znaku, że na szczyt jest 1,5h. Śmieję się z tego, bo czuję się świetnie i wiem, że mogę to skrócić 3-krotnie. Jeszcze mogę się śmiać, ale potem dostanę za swoje po głowie (pokora! łup!).

Szybko dobijam pod wspomniany już krzyż na górze i robię drugie zdjęcie. Teraz schodzę tym samym szlakiem, lecz przy wiacie odbijam na czerwony. I znów długie obejście czarnym do Rozdroża Holtei'a. Mija mnie ekipa biegaczy i rzucają tekstem: – Ej jak to jest, że ty idziesz a my biegniemy a poruszamy się z niemal taką samą prędkością?

Rzeczywiście do tej pory zachowuję średnie tempo ponad 6 km/h, więc niemal jak w truchcie. Ale od tego momentu robi się nieciekawie, bo kolano się odezwało. Usłyszałem w głowie coś w stylu „oj, człowieku, chcesz trasy takie robić a znów przestałeś ćwiczyć, chyba należy ci się kara”.

Na ostatnim już, krótkim podejściu czerwonym szlakiem na szczyt szły jakieś dziewczyny, więc udawałem, że wszystko ok i twardo prulem na górę. Popis skończył się tak, że ciągnąłem girę za sobą, bo odmówiła posłuszeństwa. Zejście niebieskim szlakiem to było paskudztwo. Naskakałem się po kamieniach jak koza z przetrąconym kulasem. O 11:12 jestem przy aucie. Koniec końców schodziłem ponad 1h, podczas gdy wejście na szczyt

zajęło mi rano żółtym szlakiem jedynie 0,5h.



Tak przebiegała trasa

Dane z trasy i czynniki motywujące

Czas wg mapy: 8:30 h.

Mój czas: 4:46 h.

Dystans: 24,5 km.

Przewyższenie: 1451 m w górę i 1451 m w dół.

Dlaczego akurat taka trasa? Po pierwsze było to coś, z czym mogłem się uwinąć do południa a po drugie i ważniejsze: zdolność sprawnego pokonania dystansu około 25km wraz z przewyższeniem wynoszącym blisko 2,5 tys. m w górę oraz w dół pozwoli na szybkie zdobycie co najmniej kilku alpejskich 4-tysięczników.

Zatem dystans i czas zadowalający. Kwestia poradzenia sobie z przewyższeniem pozostaje jednak wciąż otwarta. Niestety trudno w Sudetach znaleźć górę, która pozwoliłaby na taki trening. A innych gór w Polsce nie znam.

Dziku



Na Ślęży

A może to Yeti?

Powyżej na zdjęciu Szwajcarska część Masywu Silvretty – nie dla miśków!

2-go czerwca 2019 podczas [wejścia na Tschadinhorn](#) na wysokości powyżej 2000 m n.p.m. zauważyliśmy nietypowe ślady na śniegu. W najmniejszym stopniu nie przypominały one śladów człowieka, ani żadnego innego „normalnych” rozmiarów zwierzęcia, tzn. lisa czy świstaka. Zresztą ślady przecinały szlak w poprzek i co istotne: oprócz nas w tych dniach nikt tam nie się nie kręcił. Była to typowa przerwa między sezonami, czyli za późno na narty skitowe, lecz za wcześnie na piesze wędrówki. Jest to okres potężnych lawin mokrego śniegu zsuwających się po stokach.

Wydarzenie to tak zakorzeniło mi się w głowie, że postanowiłem temat zgłębić.

Czy w Alpach są niedźwiedzie?

Odpowiedź na to pytanie było dla mnie pewnym zaskoczeniem, gdyż jak wiemy państwa Europy Zachodniej są państwami zamożniejszymi i bardziej rozwiniętymi od Polski. A przecież postęp i ochrona natury delikatnie mówiąc nie idą w parze. Oczywiście to, że tak zawsze było nie oznacza, że tak zawsze będzie. Albo ludzkość zacznie sama z siebie (świadomość) zmieniać podejście do środowiska, albo... zostanie do tego brutalnie przez życie zmuszona.

Patrząc na historię niedźwiedzi w Alpach, można stwierdzić, że w pewnym stopniu ta świadomość już się zmieniła. Ponieważ w latach 90-tych z pomocą człowieka nastąpiła reintrodukcja gatunku w Austrii. Wtedy to „zaimportowano” ze Słowenii 3 osobniki, które dały początek nowej populacji. Wcześniej jedyne alpejskie osobniki, które przetrwały polowania to zaledwie parę sztuk, które uchowały się w Tyrolu Południowym (Włochy). A zatem... przez 100 lat (od XIX wieku) w takich

krajach jak Austria i Szwajcaria nie było ANI JEDNEGO niedźwiedzia. Dziś populację niedźwiedzi w Alpach szacuje się na nie więcej jak 50 osobników. Dla porównania – w Karpatach ilość niedźwiedzi szacuje się na ponad 7... TYSIĘCY sztuk! (z tego 6000 na terenie Rumunii).

Konflikt interesów

Co stoi na przeszkodzie, żeby większe drapieżniki żyły sobie na tak olbrzymich i dzikich obszarach, jakim są alpejskie lasy i zbocza gór? Obserwując wydarzenia z ostatnich miesięcy największy problem mają z tym hodowcy bydła. Każdy incydent związany z odkryciem zabitej owcy ze stada jest ze szczegółami opisywany w prasie. Publikowane są również zdjęcia szczątków. Hodowcy nie chcą dużych drapieżników w „swojej” krainie. Po kilku tegorocznych incydentach z udziałem wilków i niedźwiedzi została wystosowana petycja o odstrzał tych zwierząt. I choć władze na coś takiego póki co nie pozwoliły (międzynarodowe prawa ochrony niektórych gatunków), to poparcie dla tego pomysłu jest zaskakująco wysokie.

Tak przedstawia się wynik ankiety przeprowadzonej przez portal informacyjny tirol.orf.at:



Ankieta zatytułowana „Czy powinno się zezwolić na odstrzał niedźwiedzia i wilka w Tyrolu?” z lipca

Co ciekawe, w prasie opisywane są nawet przypadki tego, że wilk upolował łanię. Hmm... wilki zjadły łanię – no koszmar!

Miejscowa ludność w Tyrolu być może postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce, bo zaledwie parę dni po tych wydarzeniach odnaleziono ciało 30kg wilka z uciętą głową. Raczej nie zrobił tego w zemście jeleni – mąż wspomnianej łani.

Poza granicami Tyrolu

Nie za bardzo jest co pisać o Szwajcarii, bo tam na wilki i niedźwiedzie zgody nie ma. To, że stosunkowo niedawno jeden z niedźwiedzi odważył się przejść przez granicę i stać się pierwszym osobnikiem w tym państwie po ponad 100 latach, to wg mnie zwykłe parcie na szkło z jego strony! Chciał być sławny i tyle!

A Francja? Tu można by pisać wiele, ale w smutnym tonie. W 2004-tym roku myśliwi zabili ostatniego „francuskiego” niedźwiedzia. Wilki wybito znacznie wcześniej – bo w 1930-tym. Pamiętajmy, że jest mowa o kraju o powierzchni dwa razy większej niż Polska. Dziś populacja niedźwiedzi we francuskich Pirenejach odtwarzana jest z pomocą słoweńskich osobników, ale towarzyszą temu spore bolączki. I znów chodzi o farmerów, którzy w dramatyczny sposób przedstawiają drapieżniki jako bestie. Mowa tutaj o protestach z udziałem przebierańców w maskach wilków, z paleniem stosów, transparentami o dramatycznej treści a nawet rozrzucaniem przed ratuszem owczych ciał i wylewaniu z beczek na ulicę zwierzęcej krwi.

Co ciekawe – zarówno w Austrii, jak i we Francji wypłacane jest odszkodowanie za każdą zabita przez drapieżnika owcę. W Tyrolu jest to od 347 € do 1142 € za każdą owcę. Odszkodowanie wypłacane jest bezwzględnie, nawet jeśli nie będzie można określić, z jakim drapieżnikiem mamy do czynienia (zwykle jest to określane przez przeprowadzane z urzędu testy DNA).

Wilk vs. pies

Od II Wojny Światowej w Polsce nie odnotowano ani jednego zgonu człowieka spowodowanego atakiem ze strony wilka. Wcześniejsze przypadki też budzą wiele wątpliwości. Ilu ludzi w tym samym czasie zostało zagryzionych w Polsce przez psy? Sprawdźcie, jeśli chcecie. Podpowiem, że na świecie jest to 25 tysięcy osób rocznie, dzięki temu w badaniach Międzynarodowej Organizacji Zdrowia psy zajmują trzecie miejsce na podium w kategorii zwierząt, które najbardziej zagrażają życiu człowieka. Na pierwszym miejscu jest komar.

A może gorzej jest na chronionych rezerwatami obszarach Ameryki Północnej? Tylko odrobinę, bo na całym kontynencie odnotowano przez ostatnie 100 lat 2 zgony spowodowane atakiem wilka. I powtórzę smutny fakt: psy zagryzają 25 tysięcy ludzi rocznie.

To tyle, co miałem do przekazania w temacie dużych drapieżników w Alpach.

Czy napotkane przez nas na śniegu na początku czerwca ślady były śladami niedźwiedzia? Prawdopodobieństwo jakieś jest, bo w 2002 roku to właśnie tam, w grupie Schobera zaobserwowano tego drapieżnika powyżej 2000 m n.p.m. Żałuję, że nie zrobiłem zdjęcia odcisniętych łap, można by na spokojnie dziś temat przeanalizować. A tak, mogę mieć tylko nadzieję, że jeśli to był misiek to nadal sobie gdzieś tam spaceruje i ma się dobrze.

A może to był Yeti?

Alpy po sudecku

Powyżej na zdjęciu Weissmies (4017 m) widziany z Lagginhorn (4010 m)

[70 alpejskich szczytów w dorobku!](#) Niektóre z nich powtórzone parę razy, a niektóre pozostały przeze mnie niezdobyte. Ale to wciąż 70 wejść, zejść, prób i przede wszystkim lekcji. Czy 70 to dużo? Otóż ta liczba mówi o jednym: o niczym. Można się więcej nauczyć zdobywając szczytów 7. Można też wejść na 140 i wciąż być niemal w tym samym miejscu co na początku. Ja jednak jestem usatysfakcjonowany miejscem, w którym się znajduję. W Alpach czuję się jak w domu, a na to na pewno miała wpływ ilość zrealizowanych wyjazdów.

Alpy po sudecku

Po kilku ostatnich wypadach w Sudety zacząłem się zastanawiać, dlaczego w Alpach działamy jak w zwolnionym tempie. Skoro mogę na podejściach utrzymywać odpowiednią prędkość w niższych górach, to dlaczego podobnie nie ma być gdzieś wyżej? Dlaczego w Sudetach pokonuję wraz z przewyższeniami [20km w 3,5h](#) a tymczasem w Alpach wleczeni się 1/3 tego dystansu przez pół dnia. Skoro mogę [przeszurać na biegówkach](#) 50km z kanapką, batonikiem i bez namiotu, to dlaczego w Alpach muszę na zaplanowane 20km trasy mieć zestaw garnków, reklamówkę jedzenia oraz ważący ponad 3kg wyprawowy namiot. Czas przenieść sudeckie doświadczenia na wyższy poziom.

Przygotowania

Na celownik wziąłem szczyty Lagginhorn i Weissmies. Oba są szczytami technicznie łatwymi, jednocześnie ich wysokość nieznacznie przekracza 4 tys. metrów. Nieśmiało zerkałem też na mapie w stronę Fletschhorna (3993 m), ale pamiętając nauki z poprzednich lat, kiedy to chciałem „więcej i więcej” a na koniec była figa z makiem – tym razem temat 3-go szczytu na trwającym 2 i pół dnia wyjściu w góry odpuściłem.

Niesłusznie.

Kluczem było odchudzenie plecaka. Wziąłem niemal tylko to, co niezbędne, więc zrezygnowałem chociażby z namiotu, zapasowych majtek i skarpetek. Pewnie, że jeszcze kilka drobiazgów można było odrzucić (scyzoryk, zapasowe baterie do czołówki, soczewki, zapasowa koszulka), ale zostawiłem sobie potencjał na kolejne akcje. Wejścia na szczyty i tak dokonywane były zupełnie na lekko, a w przypadku potrzeby przemieszczenia się z całym dobytkiem było to przedsięwzięcie znacznie łatwiejsze i przyjemniejsze.

Sprawdził się po raz kolejny patent z przygotowywaniem porcji jedzeniowych na zasadzie: „to zjem w piątek rano, a to wieczorem, a to w sobotę rano” itd. czyli bez wrzucania jedzenia do plecaka metodą „na czuja”. W rezultacie zniosłem do samochodu jeden kisiel, jedną torebkę herbaty oraz 2 batoniki (te batoniki miały być zjedzone ostatniego dnia, ale kompletnie nie miałem apetytu). Noszenie zbędnego balastu w postaci jedzenia to najczęstszy i najbardziej odczuwalny przez nasze ramiona powtarzany do tej pory błąd. A przecież... z głodu się jeszcze nikt nie zesrał!

Akcja nr 1

Nie zanudzając, by było krótko i słodko: pierwszego dnia po wyjściu z kolejki Saas Grund-Kreuzboden (2400 m) odczekuję chwilę, by dołączył do mnie Maciek (ostatnio wspólnie wędrowaliśmy aż 8 lat temu, podczas [zdobywania najwyższego szczytu Uralu](#)) i ruszamy z całym dobytkiem na górę. Była to godzina 9:30. Na wysokości nieco ponad 3000 metrów zostawiamy część rzeczy i dalej idziemy już tylko z paroma rzeczami w plecaku. Wśród nich picie, czołówka, kurtka, czekan i raki (oprócz picia pozostałe artefakty okazały się niepotrzebne). Na szczycie Lagginhorn o wysokości 4010 m n.p.m. staję o 13:50, zatem od budynku kolejki wejście zajęło 4h20'. To niemal 400mH na godzinę, więc całkiem satysfakcjonująco. Do tego część drogi pokonana z kompletem zabranego bagażu (ze

względu na odchudzony na tym wyjeździe plecak było to zupełnie nieuciążliwe) no i niemal bez przerwy nawijając z Maćkiem na przeróżne tematy (spotkanie z tym [wyjątkowym człowiekiem](#) to był dla mnie hit sezonu).

Ogólnie to styl był w pełni sudecki, czyli taki, jaki miał być. Podczas całego podejścia na szczyt nie odczułem żadnych oznak zmęczenia czy zadyszki. Myślę, że tego dnia mogłem dać z siebie znacznie więcej, ale nie takie były założenia.

Późniejszym popołudniem schodzimy do zdeponowanych pod kamieniem rzeczy i po chwili jesteśmy gotowi do wymarszu pod kolejny 4-tysięcznik. Robimy tu coś niezrozumiałego, gdyż zamiast trawersować zbocze ścieżką i bez utraty wysokości dostać się do celu, my postanawiamy zejść do skrzyżowania na wysokości 2800 m i stamtąd szlakiem po raz kolejny wspinać się na wysokość 3100 metrów. Ewidentnie energia nas rozpierała, byliśmy jak małe dzieci na nowym placu zabaw.

Wieczorem udaję się na spacer odwiedzić naszych kolegów, którzy rozłożyli namiot w pobliżu lodowca. Do naszej bazy noclegowej, jaką okazał się nieco zrujnowany, stary budynek kolejki, wracam dopiero koło godziny 22-giej. Ogólnie czuję się mentalnie tak dobrze, jak nigdy wcześniej w Alpach. Podobno „*kiedy mężczyzna wychodzi w góry, to wraca do domu*„ [John Muir]. Ja tego dnia właśnie tak się czuję.



Bryle na nosie i radosna mina, to Maciek i Dzik – pędzą na Laggina!



Na zachodniej grani
Lagginhorna



Lagginhorn – 4010 m n.p.m.

Akcja nr 2

Po zaledwie paru godzinach snu, koło 3:30 znów wychodzimy w góry. Niepotrzebne podczas ataku szczytowego rzeczy deponujemy przy namiocie kolegów. Na lodowiec wchodzimy koło godz. 4-tej w zespołach: Dzik z Maćkiem oraz Łukasz z Piotrkim. Już około godziny 7:30 stajemy na szczycie. Droga nie była łatwa, gdyż prowadziła po stromym i mocno poszczelinionym lodowcu. Wysokie temperatury odcisnęły swoje piętno: ścieżka urywała się czasem na zawałonym moście śnieżnym a zaledwie 4 dni przed nami nastąpił tu duży obryw seraków. Bez większych problemów jednak zdobywamy najwyższą górę w tym masywie – Weissmies (4017 m).

O 10-tej jesteśmy już przy namiocie. Maciek zmywa się do miasta i wraca do domu. Piotrek i Andrzej decydują się jeszcze

wyjść na Lagginhorn, a ja z Łukaszem lenimy się niemożebnie. Korzystam z tego, że jest miejsce w namiocie i w bezlitośnie dopiekającym słońcu autentycznie cały dzień leżę (muszę to tu zapisać, bo pewnie kiedyś nie będzie mi się chciało w to uwierzyć).

Podnoszę tyłek dopiero koło 21-wszej. Zabieram cały dobytek i idę się skitrac do mojej tajnej i nielegalnej kryjówki. Już niemal w zupełnych ciemnościach spotykam zmierzających do namiotu Andrzeja i Piotrka. Ten drugi słania się na nogach. Ma prawo, bo pozamiatał system – w niespełna 20h wszedł na dwa 4-tysięczniki, w dodatku podczas swojego pierwszego w życiu wypadu w Alpy. No cóż, można wiele, wystarczy tylko nie wiedzieć, że czegoś tam „nie da się”. Tego dnia wszyscy 3 uczestnicy wycieczki stanęli na swoim pierwszym 4-tysięczniku. Wszystkim im należą się gratulacje.

Krzątałem się po okolicy do samej nocy. W tych dniach odczuwam całkowity spokój. Podczas wypadów na szczyty czuję, że wszystko jest pod kontrolą, więc tym bardziej po zejściu z lodowca nie przejmuję się niczym na wyrost. W tym miejscu bardzo dziękuję Asi i Adze za częste podsyłanie prognoz pogody, bo to też powodowało, że nie martwiłem się na zapas.



Bardzo ładne zdjęcie autorstwa Łukasza, a po środku kadru stoi Dzik



Piotrek i Łukasz na
podejściu na Weissmies



Piotrek i Łukasz na grani
Weissmies



Na szczycie Weissmies (4017
m). Od lewej Piotrek,
Maciek, Łukasz i Dziuku (z
błyskiem w oku hehe)



Maciek na najbardziej emocjonującym fragmencie podejścia na Weissmies



Lodowiec pod Weissmies, częściowo widoczna ścieżka oraz jedna z grup na lodowcu

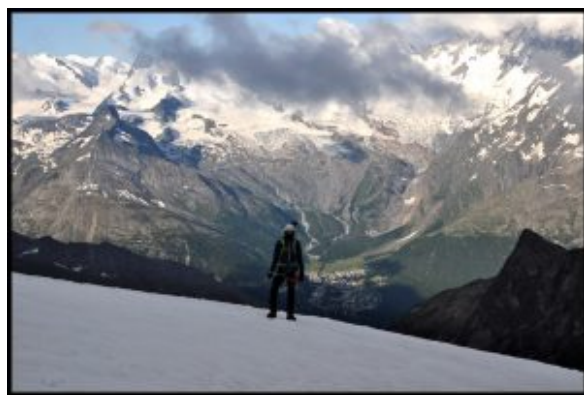
Akcja nr 2 i pół

W ostatni dzień wyszliśmy z Łukaszem na wspomniany wcześniej (piękny zresztą) szczyt Fletschhorn. Przeczytane kilku zdań opisu trasy nie wystarczyło by osiągnąć sukces. Tylko 2 zdania przeczytałem ze zrozumieniem tekstu, a pozostałe 2 na odpiernicz. I w ten sposób powyżej 3500 metrów mylę trasę i schodzimy na lodowiec. Idziemy po nim łukiem, docieramy do grani na wysokość ok. 3850 m i tam natrafiamy na wyraźne, głębokie odciski stóp. Co ciekawe, przez całą drogę do tego miejsca widziałem ślady, które w rzeczywistości nie istniały. Tak naprawdę dopiero teraz jesteśmy na właściwej drodze, ale jesteśmy już nieco zmęczeni psychicznie. Trasa była niełatwa z

powodu warunków – brak widoczności, spore nachylenie i oblodzenie, do tego silny wiatr na grani, który może bardzo szybko spowodować odmrożenia na twarzy. Zresztą pierwsze objawy już są po nas widoczne. Wracamy tą samą drogą, którą tu weszliśmy. Opuszczamy niegościnną strefę i wkrótce zasuwamy w pełnym słońcu wśród uroczych alpejskich krajobrazów jak z widokówek.



Przy tych skałkach spękaliśmy. Szczyt był nieco na prawo i dzieliło nas od niego zaledwie 150 metrów w pionie. Ale było to i tak wartościowe i pouczające doświadczenie



Łukasz na zboczach Fletschhorna a w tle miasteczko Saas Fee



Fletschhorn (3993 m n.p.m.)
– jeden z najładniejszych
„prawie czterotysięczników”



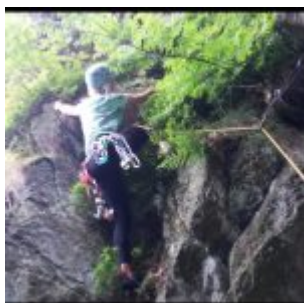
Widoczki na drodze
zejściowej do Saas Grund

Ten wyjazd był dokładnie taki, jaki miał być. Fletschhorn już na wstępie zignorowałem i przez to na niego nie wszedłem. Następnym razem podejść do planowania nieco bardziej ambitnie. Chociaż z drugiej strony: 2 i pół dnia w górach i 2 i pół zdobytych szczytów – to chyba niezły wynik.

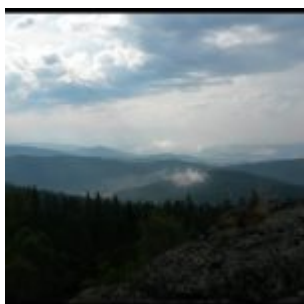
Dziku

PS. Z ostatniego dnia wynieśliśmy ważną naukę: „Jeśli znosisz z góry przesылkę do WC i zamykasz się w kabinie mentalnie nastawiony na finał za 3 sekundy, to upewnij się, że wcześniej ściągnąłeś uprząż.”

01.06 – Dzień (bez) dziecka



User comments



Widok ze skały po skończonym dniu



„Są tam jagody?”

Wstęp

O wypadzie w Alpy w pierwszy weekend czerwca myślałem od paru tygodni. Regularnie, czyli 78 razy na dobę sprawdzałem prognozę pogody, która nie napawała optymizmem ze względu na

wyjątkowo duże opady śniegu, przynajmniej jak na wiosnę. Jednak na parę dni przed potencjalnym wyjazdem opady ustały i zapowiadała się piękna pogoda. Pozostał jeszcze jeden problem – jak o tym powiedzieć żonie? Zwlekałem do ostatniego dnia przed wyjazdem, kiedy to przy śniadaniu postanowiłem postawić sprawę twardo i po męsku: ze zwieszoną głową i niepewnym głosem oznajmiłem wtedy, że do wyjazdu namawia mnie Tomek i że tak naprawdę to ja nawet niespecjalnie chcę jechać, no ale wiadomo...

Odpowiedź Agi mnie zaskoczyła, pomimo ukończonych właśnie 10 lat znajomości:

– Jadę z wami!

Dzień pierwszy z dni półtora

Wieczorem w piątek podjeżdżamy pod dom teściów, który szczęśliwie znajduje się w Kotlinie Kłodzkiej (po drodze na Śnieżnik, natomiast Alpy to te następne góry z tyłu). Stukamy w drzwi, zostawiamy dzieci i uciekamy. One się cieszą na przygodę i my również.

Rano dojeżdżamy zgodnie z planem do Lesach. Ubieramy buty i w drogę, aż do pierwszej przeszkody, którą napotkaliśmy po jakichś 15 krokach. Okazuje się, że obryw zbocza uszkodził szlak i trzeba iść „objazdem”, nieco naokoło. Nic nie szkodzi, nie nadkładamy jakoś w ten sposób dużo drogi i po parunastu minutach znów jesteśmy na właściwym szlaku. Niedługo potem znów natrafiamy na niepokojące informacje – szlak zamknięty ze względu na obrywy i lawiny kamienne oraz zwaliska drzew. Nie uśmiecha nam się iść drugim brzegiem rzeki – drogą dłuższą i w dodatku wystawioną na pełne słońce. Ponieważ język niemiecki jest nam znany w ograniczonym stopniu to tłumaczymy sobie tekst w sposób, który nam w tej chwili bardziej odpowiada. Wg naszego tłumaczenia to tam po drugiej stronie są obrywy, a nasz szlak jest OK.

Oczywiście było inaczej i przechodziliśmy pod olbrzymimi

konarami lub uprawialiśmy wspinaczkę korzeniową o stopniu trudności co najmniej III.

Szczęśliwie docieramy do polany Lesachalm. Przed nami pięknie prezentuje się Glodis, zaś gdzieś po prawej ukryty jest Hochschober. Oba szczyty są naszymi celami na te półtora dnia. Żeby nie trzymać w napięciu od razu powiem, że niespecjalnie się nawet do nich zbliżymy.

Zostawiamy bagaż w lesie i ruszamy do góry po zaśnieżonym zboczu. Już pierwszego dnia przemoczymy buty ze względu na zalegające olbrzymie masy mokrego śniegu. To podejście w kierunku Hochschobera potraktuję jako nieudaną próbę jego zdobycia i dopiszę dolisty [„Inwentaryzacja dorobku”](#), choć miałem tu dylemat, bo szanse były tak małe, że mógłbym z czystym sumieniem potraktować to jedynie jako zwiad.

Obejrzeliśmy sobie ze zbocza potężne lawiniska, ciągnące się kilometrami. Obejrzeliśmy sunące lawiny z przeciwległego stoku, opaliliśmy mordki, zmęczyliśmy się torując w śniegu, a na koniec – weszliśmy na punkt widokowy, oznaczony na mapie jako Kögerl (2386). Ten dzień i tak uważamy za udany. Z czystym sumieniem wracamy do pozostawionego depozytu i szukamy płaskiego miejsca na namiot. Ja czuję jeszcze niedosyt więc idę na 1,5 godzinny marsz w kierunku Glodisa. Rozeznanie kończy się następującymi wnioskami: kocioł pod granią jest dostępny, ale co nas czeka w kotle, to można się domyślić – głęboki śnieg i zsypujące się na nas z otaczających zboczy lawiny. Jednym słowem – samobójstwo.

Dzień drugi, a właściwie połówka dnia

Rano wychodzimy na zbocze leżące po przeciwległej stronie doliny w stosunku do naszych pierwotnych celów. Naszym celem jest Tschadinhorn (3017), który jest szczytem turystycznym, łatwym, ale niekoniecznie po tak dużych opadach śniegu. Momentami wypruwam na podejściu flaki ze względu na zapadanie się i potrzebę torowania. Ale to jest i tak znośne, ponieważ przez część trasy śnieg nas utrzymuje, delikatnie utwardzony

temperaturą, jaka panowała w nocy. Docieramy w głębokim śniegu pod sam szczyt, gdzie czeka nas nieprzyjemny trawers i podejście stromym zboczem po lawinisku. Gdyby coś tu pod nami wyjechało to koniec – teren poniżej nie pozostawiał za wiele szans. Jednak czuliśmy się wystarczająco bezpiecznie, by kontynuować wejście. Dopiero pod samym szczytem zapala mi się pomarańczowa lampka, więc wycofuję się ze żlebu i trawersuję pod skałami. Po przedostaniu się na drugą stronę skał reszta drogi okazała się formalnością. W co najwyżej kilkanaście minut wchodzimy na wierzchołek. Piękna pogoda i piękne widoki. Przed nami Grossglockner, nieco z boku Granatspitzgruppe a jeszcze dalej Grossvenediger. Mnie interesuje Böses Weibl (3119) i grań, jaka go łączy z naszym wierzchołkiem. Wszystko do pokonania, nawet w tych warunkach. Ale umęczylibyśmy się nieziemsko i potrzebowalibyśmy całego dnia. Zatem – wracamy. Wniosek z zejścia – gdybyśmy wyszli niecałą godzinę później to na szczyt byśmy nie weszli ze względu na zapadanie się w śniegu. A wyszliśmy koło 6:30 i to i tak było wg mnie zdecydowanie za późno.

Po zejściu do pozostawionych rzeczy w dolinie pakujemy się i schodzimy do samochodu. Musimy wrócić do dzieci najpóźniej nad ranem, zanim dziadki do pracy wyjdą.

Ogólnie wariactwo – takie, jakie kochamy.

Tekst i zdjęcia: Dziku

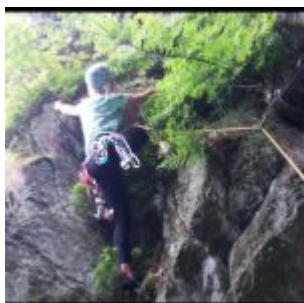
PS. Po powrocie chwałę się głośno:

– Treningi dały efekt! Nic mnie nie boli!

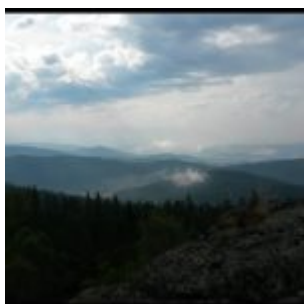
– A ja przez ostatnie 4 lata się nie ruszałam i też mnie nic nie boli – odpowiada Aga.

Nie ma to jak podtrzymywanie na duchu i dodawanie pewności siebie przez bliskie ci osoby.

Rzeka



User comments



Widok ze skały po skończonym dniu



„Są tam jagody?”

Mogłem całą sobotę przeleżeć, bo powodów miałem kilka. Jednym z nich było 30 kilka stopni Celsjusza w cieniu, a innym niemoc z powodu infekcji, co mnie powoli rozkładała. Powodem mogło być też to, że byłem u mamy i miał się kto dziećmi zajmować. Ale mimo to spałem pośladki i o 14-tej wstałem z wyra. Do

plecaka wrzuciłem wodę i parę przekąsek i poszedłem sprawdzić, co się zmieniło w moich rodzinnych stronach. Towarzyszyła mi myśl:

„Dam sobie wycisk w taki upał to wirusa na pewno zabiję. Albo sam umrę.”

Prosto z domu wychodzę w pola, gdzie na górze mijam dziką czereśnię. Garściami nachapię się owoców i upieprzony sokiem ruszam w dalszą drogę. Już po 100 metrach znów przystanąłem, bo mnie urzekła plantacja groszku. Czereśnie były raczej dzikie, ale groszek to już normalnie szabrowałem, więc smakował przez to jeszcze bardziej wyjątkowo. Jak tak dalej pójdzie to daleko dziś nie zajdę.

Wzdłuż obwodnicy, której jeszcze niedawno nie było docierałem nad rzekę. W miejscu, w którym za dziecka rozkładałem namiot i biegałem z wędką otoczony jedynie przez przyrodę teraz przebiega co innego – wiadukt. Przedziwnego doznałem uczucia, widząc tak zmieniony krajobraz. Brzeg wyrównany, wierzbki wycięte. 20 lat spędzonych z dziką przyrodą to już tylko wspomnienie, bo to już nigdy nie wróci. Po potężnych drzewach, na których znajdowały się gniazda myszołowów nie ma ani śladu. Zostawiam to za plecami, cóż innego można zrobić?

Dalej wzdłuż brzegu pokonuję dalszy dystans, by po około 9-10 km od domu osiągnąć kluczowe miejsce. To dotąd, przez blisko 20 lat docierałem najpierw z tatą a potem samemu. Oprócz boiska piłkarskiego to właśnie ten 10-cio kilometrowy odcinek był moim placem zabaw, moją siłownią, szkołą survivalu, adrenaliną parkiem, poligonem i wszystkim innym. I choć wielokrotnie zastanawiałem się, co jest dalej, to jednak nie czułem wtedy wystarczającej potrzeby dalszej eksploracji, by wkroczyć w nieznany mi teren.

Dziś jednak mam coś, czego w latach 80-tych nie miałem – smartphone z mapami i GPS. Po sprawdzeniu mapy okazało się, że tylko dwa zakręty rzeki dzielą mnie od miejscowości, w której

znajduje się most. Bez wahania więc wbijam w krzaki i nie bez wysiłku pokonuję ostatnie kilka kilometrów. Kiedy wchodzę do wsi, na odkrytych częściach ciała nie ma już u mnie miejsca bez poparzeń, pogryzień, przetarć i opuchlizny. Byłem nastawiony i ubrany na trekking w słońcu, a nie na wytyczanie drogi w jeżynach i pokrzywach.

Czuję się, jakbym przez ostatnie godziny plewił grządki na plantacji Barszczu Sosnowskiego. Oczywiście w krótkim rękawku i spodenkach.

Po przejściu mostem na drugą stronę rzeki wytyczam trasę powrotną. Nic skomplikowanego, po prostu będę się trzymał jak najbliżej brzegu rzeki, aż dojdę z powrotem do miasta i do najbliższej kładki. Idzie mi się dobrze i szybko. Całość trasy na ten moment powinna się zmieścić w 30 km, więc nawet jeśli będę musiał jakieś miejsce obejść i dołożyć 5 km to dam radę.

Nie było jednak takiej potrzeby, ale to dzięki mapom w telefonie. W drodze powrotnej wspomagałem się nimi kilkakrotnie, kiedy straciłem kontakt z rzeką i szukałem przejścia przez mniejszą rzeczkę na mojej drodze. Po kilku kilometrach dotarłem do miejsca, które pamiętałem z dzieciństwa. Doszedłem tam wtedy zimą spacerując z psem, co zresztą nieco odbiło się na moim zdrowiu. Pamiętam z tamtych dni (zima 1995 lub 1996) dialog po dotarciu do zabudowań na obrzeżach wioski:

- Przepraszam panią, co to za miejscowość?
- Kubice, a skąd ty dziecko idziesz?
- Z Nysy.
- Rzeką?!
- Tak, ale już wracam.

Oprócz wspomnianej zimowej wyrypy dojechałem tu też latem normalnie rowerem, a i parokrotnie zdarzyło mi się też przejść lub przepłynąć rzekę. Nawet jako dziecko umiałem wyszukać odpowiednie miejsce, by dostać się na drugi brzeg bez

zanurzania się pod wodę. Jeden nawet pamiętny raz rzekę przeszedłem w bród z 20 kilogramowym rowerem górskim, przez co zresztą znalazłem się w dosyć groźnej sytuacji.

Zatem teraz już byłem w znanym mi terenie, a eksploracja zamieniła się na żmudny marsz. Kilometry uciekały spod nóg jednak zaskakująco szybko i po niecałych 6 godzinach byłem z powrotem w domu, mając na koncie blisko 30 kilometrowy niełatwy odcinek.

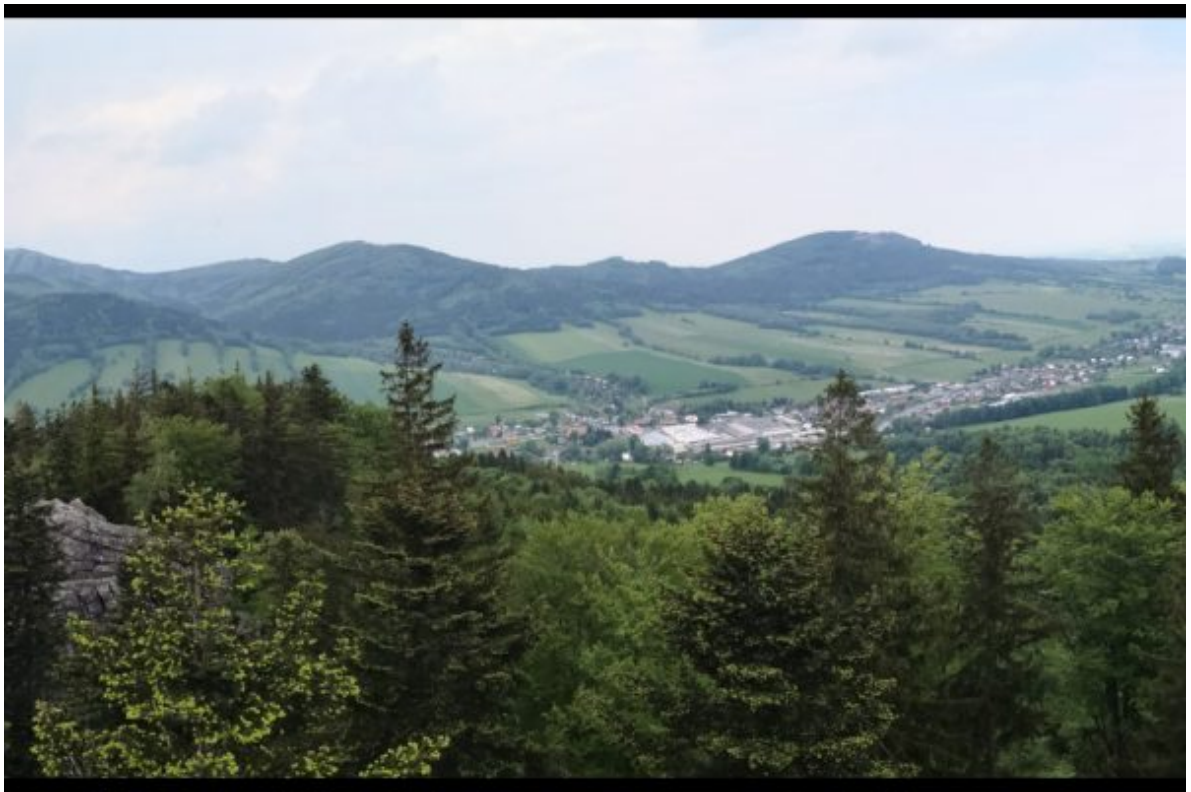
Ból gardła przeszedł – wirus zdechł.

Jesioniki z adrenaliną

Dawno nie czułem takiego napięcia jadąc w góry. Niby cel niewysoki, brak lodowców i pogoda stabilna, ale... towarzyszył mi wyraźny niepokój odkąd wyjechałem. Gdyby ktoś był ciekaw, jak sobie zafundować takie dodatkowe emocje jeszcze przed dotarciem w góry, to już odpowiadam: wystarczy pojechać w czeskie Sudety bez dokumentów od auta.

Uświadomiłem sobie to niedaleko od domu, ale każda minuta była dla mnie cenna, więc dylemat „jechać czy wracać” trwał koło 2 sekund. Na tyle czasu zdjąłem nogę z gazu po czym – ogień, po przygodę.

Dojeżdżam na miejsce po godz. 10-tej. W planie na najbliższe parę godzin blisko 20 km po szlaku i 1000 metrów w pionie. Trasę wybrałem na podstawie dwóch założeń: miejscowość miała być położona nisko, a w pobliżu miała się znajdować w miarę wysoka góra.



Panorama z Vyhlídka Čertovy kameny

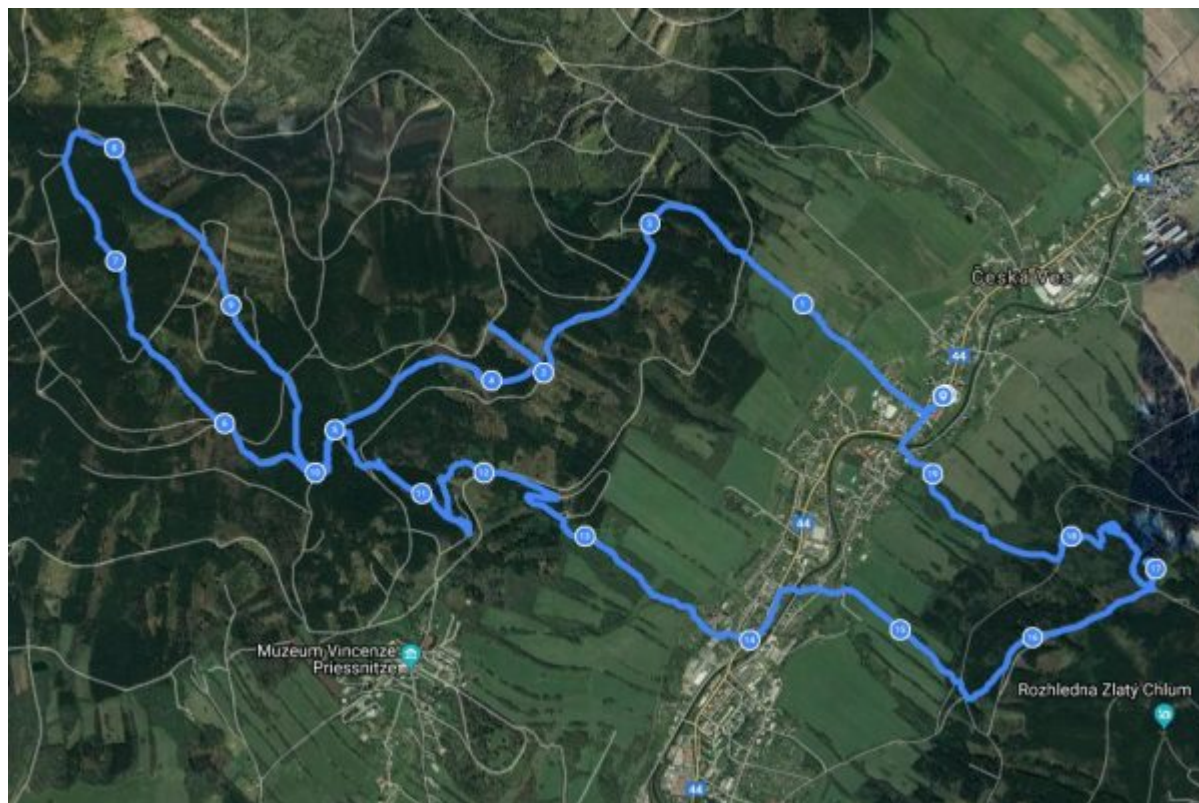
Z Česká Ves udaję się poszczególnymi szlakami w kierunku Studniční vrch (992 m), będącego najwyższą górą grupy Sokolský hřbet. Po drodze mijam liczne źródelka, i to nie jakieś zwykłe, ale wkomponowane w piękne kamienne konstrukcje. Jest ich tak dużo, że spokojnie można tam wędrować sobie nie mając przy sobie wody. Na szczyt wchodzę już po 1,5h od wyjścia z auta. Tu zakręcę się nieco, bo planowałem stąd zawrócić, ale jest na tyle wcześnie, że modyfikuję plan i dokładam jeszcze jedną pętlę po czerwonym szlaku. W zejściu mam okazję rzucić okiem na swój następny cel, po przeciwległej stronie doliny. Znajdę się tam dosłownie za parędziesiąt minut.



Jedno z licznych źródełek na trasie

Po zejściu do miasteczka przechodzę chodnikiem paręset metrów i wchodzę na trawiasty stok. Szlakiem przecinającym się momentami z asfaltową drogą dochodzę do schroniska/restauracji – Čertovy kameny. Jest tu parking, plac zabaw, tyrolka i inne atrakcje dla dzieci, których jest tu całkiem sporo. Od restauracji jest tylko 150 metrów na kamienny szczyt Vyhlídka Čertovy kameny (669 m) z platformą widokową ogrodzoną barierką. Miejsce z klimatem, dojście w miarę łatwe (trochę stopni i drabinek) a widoki imponujące.

Stąd już w błyskawicznym tempie schodzę do auta. Całość zajmuje mi 3,5 h. Jestem zmęczony, lecz czuję się doskonale. Jeszcze tylko z towarzyszącym poczuciem poniesionego poziomu adrenalin z powodu braku dowodu rejestracyjnego pokonać kilkanaście km dzielące mnie od granicy i jestem bezpieczny.



Drogi wspinaczkowe

Z pamiętnika Dzika

*Powyżej na zdjęciu odpoczynek podczas wejścia na [Allalinhorn](#).
Oj... brakowało nam tam pary.*

Prolog

Po ostatnim [wypadzie w Alpy](#) przez cały kolejny tydzień nie mogłem się pozbierać. Fizycznie byłem rozłożony. Przekonywałem siebie, że to przez to, że podjęliśmy się wyjątkowego wyzwania i musieliśmy poczynić wyjątkowy wysiłek... blablabla, taaa, jasne.

Lepiej zacznijmy od zadania sobie cholernie ważnego pytania: **w jaki sposób przygotowuję się do swoich wypraw i wypadów?** Pytanie istotne i dość często mi zadawane, choć nie tak często jak to o załatwianie swoich potrzeb w górach. A to już uważam za pytanie trudne lub nawet głupie, bo wszystkie stworzenia się załatwiają, tak samo ludzie, więc naprawdę nie wiem, co by miało być niezwykłego w sraniu pod chmurką. Żadna filozofia. Nawet bez papieru można się obyć myjąc tyłek garścią śniegu.

Tak szczerze

Co innego trening. Jest to temat, na który do tej pory nie znałem odpowiedzi, ponieważ nigdy pod kątem wyjazdów górskich nie trenowałem. Nie sędzę, by do regularnego treningu zaliczyć można było zrobienie kilku podbiegów pod niewielkie wzniesienie na polu. Ta „niesamowita mobilizacja”, czyli wspomniane podbiegi miała miejsce w 2013 roku przed [wyjazdem na Pik Lenina \(7124 m\)](#). Coś tam jeszcze wtedy biegałem po okolicznych wioskach, miałem także epizody z piłką nożną (będzie dodatkowy komentarz), ale ogólnie śmiech, bo nie były to treningi dedykowane. Podsumowując: przez pierwsze 14 lat uprawiania zaawansowanej turystyki górskiej nie wiedziałem nic o przygotowaniach kondycyjnych.

Substytuty

Dodatkowo przez te 14 lat towarzyszyła mi praca siedząca, a dokładnie cały dzień spędzany przed komputerem, natomiast wyjazdy w góry były nieregularne, a między nimi często były długie przerwy. A jednak gdy przychodziło co do czego potrafiłem dać z siebie sporo. Jak to możliwe?

Po pierwsze sport, który towarzyszył mi od urodzenia – piłka nożna. Gdy tylko mogłem, gdzie tylko mogłem – grałem. C-klasa, B-klasa, drużyny i turnieje firmowe, spotkania z chłopakami z pracy; to wszystko na pewno pomagało.

Po drugie wyjścia w góry kiedy tylko to możliwe, one dawały wg mnie najwięcej dobrego dla psychiki. Dzięki wypadom wiedziałem na co mnie stać, tym bardziej, że się [tam nie oszczędzałem](#).

Po trzecie geny.

A dodatkowo krótka przygoda z bieganiem; 10km, półmaraton jeden drugi (niemal bez żadnego przygotowania), Endomondo i rywalizacje i... wciągnęło mnie. Zacząłem biegać po okolicznych lasach i zauważyłem, że mogę biegać i biegać i nie wiem do końca, czy się męczę czy nie. Do czasu...

Lampki ostrzegawcze

Najpierw zaczęło rwać w kolanie, więc o bieganiu mogłem zapomnieć. Bez kuśtykania jestem w stanie przebiec 1,5km. Powód – ponadrywane więzadła. Pewnie przez piłkę, ale nawet z tą diagnozą i tak nie potrafiłem sobie jej odmówić. Niestety musiałem, bo kolano zaczęło się odzywać również podczas gry. W takim razie zostały góry, niestety i na tym polu [zaczęły się problemy](#). Aga wie o co chodzi i w bawełnę nie owija: „*Dziku, przez 35 lat uprawiałeś kontuzyjny sport, nigdy nie dbałeś o rozgrzewkę i rozciąganie, masz przykurcze a na dodatek jesteś stary*”.

Nie widzi ona dla mnie innego wyjścia, jak zadbanie o regularną gimnastykę, proponuje też rower. Ja jednak jestem mądrzejszy.

Na wariata

Kolejne wyjazdy na wariata możliwe były dlatego, że rzeczywiście nogi wzmacniałem ćwiczeniami. Problem jednak w tym, że ćwiczyłem tylko gdy bolało. Jak przechodziło, to i mi przechodziła ochota na systematyczny trening. Pomimo tego w górach szło mi całkiem nieźle, przynajmniej tak długo, jak nie próbowałem robić „[czasówek](#)” i ścigać się ze strzałkami na szlaku (1h30' do celu? Cemu by nie zrobić tego w 40'?). Coś mi jednak przestaje grać i nie chodzi tu o wydolność podczas akcji górskiej, chodzi raczej o to, co się dzieje P0, mianowicie wyjątkowo długa regeneracja.

Późne nawrócenie

Od paru miesięcy się joguję a od paru tygodni jeżdżę na rowerze. Jeśli nadarza się okazja, to [wyskakuję w góry](#). Wciąż zauważam jednak to samo – brak ograniczeń kondycyjnych podczas akcji (zarówno podczas ciśnięcia na 20-letnim rowerze po piaszczystych leśnych drogach, jak i podczas dymania stromą ścieżką pieszo na szczyt) oraz, niestety, długi okres regeneracyjny po powrocie.

Epilog

Do szukania sposobu na wytrenowanie się do odpowiedniego poziomu motywuje mnie na pewno to, że nie chcę pozostać na obecnym etapie. Przez kolano ten etap jest zresztą dużo niższy, niż mógłby być. Głęboko się zastanawiam nad kolejnymi celami i nad sposobem ich zdobycia. Plany kotłują się w głowie, a ja coraz częściej oglądam mapy i sprawdzam prognozy pogody. Jednak, by osiągnąć wymarzone cele muszę brać pod uwagę coś więcej, niż zagrożenie lawinowe, opady i prędkość wiatru. Muszę uwzględnić swoje słabości fizyczne. Muszę uwzględnić pierwsze cyfry swojego PESEL-u i już teraz zadbać o to, bym nie musiał zwolnić po ukończeniu 40-go roku życia. A to już łada moment.

Szczelińiec na dopingu

W nawiązaniu do [artykułu o kryzysie wieku średniego](#), udowodnię tym wpisem, że się jeszcze nie poddaję.

Otóż w jeden z majowych weekendów przy okazji weekendowej imprezy integracyjnej znalazłem się w Górach Stołowych. Piątkowy wieczór z wesołym towarzystwem przeciągnął się do późnej nocy, więc mój plan wczesnego wyjścia w góry stanął pod znakiem zapytania. Nie miałem złudzeń i nie nastawiałem nawet budzika. Na szczęście co niektórzy już o 6-tej wstawali, by kontynuować imprezę i to właśnie dzięki nim obudziłem się o rozsądnej porze. O 6:30 pomykałem już w kierunku Schroniska na Szczelińcu. Rześki chłód poranka i świeże powietrze zrobiły swoje. Pomimo, że ewidentnie nie byłem zdolny do kierowania pojazdem, szło mi się całkiem dobrze. Po dotarciu do ławeczek na końcu asfaltu zatrzymałem się na puszkę Pepsi. Było to absolutnie niezbędne, bo paliwo spożyte podczas zabawy niespecjalnie mnie już napędzało. Zresztą i tak leciałem na czczo. Na czarną godzinę schowaną miałem jedynie zimną kiełbasę upieczoną wczoraj na ognisku.

Na platformie przed schroniskiem znalazłem się po 55', czyli o godzinę krócej niż wg mapy. Do śniadania w ośrodku jeszcze było sporo czasu, więc zachęciło mnie to, by przejść Skalny Labirynt. Ależ miałem z tym ubaw! Przeciskając się między skałami cieszyłem się jak dziecko, więc już wiem, że muszę koniecznie synka tam zatargać. Nie przewidziałem jednego – trasa przez labirynt jest jednokierunkowa, więc zdziwiłem się nieco, kiedy zszedłem do Karłowa. Stąd poszedłem niebieskim szlakiem już we właściwym kierunku, po czym obszedłem

Szczeliniec Mały i znalazłem się przy parkingu. Mogłem teraz znacznie skrócić drogę asfaltem, ale wybrałem „czysty styl” i wskoczyłem z powrotem na przełęcz pod Szczelińcem Wielkim i dopiero teraz zszedłem „do domu”.

Reszta towarzyszy właśnie kończyła jeść śniadanie i zbierała się do wyjścia. Celem było schronisko Pasterka. Traktowałem już to na luzie, więc spokojnie dokończyłem śniadanie i wyruszyłem jakąś godzinę po nich. Ekipa była specyficzna, ale nie dogoniłem ich tak szybko jak myślałem. W ogóle całościowo patrząc, to trasa jaką wspólnie przebyliśmy wcale nie należała do najłatwiejszych. Pomimo tego i zmęczenia procentami wszyscy sobie poradzili i w pełnym składzie wędrowaliśmy do późnego popołudnia.

Dla mnie osobiście końcowy wynik był naprawdę zadowalający – w sumie tego dnia przebyłem ponad 20 km i pokonałem około 1200 mH.

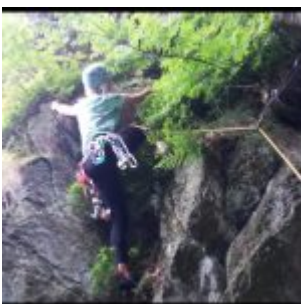
To był świetny weekend spędzony w doborowym towarzystwie. Po czymś takim ma się cudownie wyczyszczoną głowę, tylko w mięśniach coś ugniata. Oj, trzeba się wziąć za siebie, więc może by częściej na imprezy integracyjne jeździć? Tylko czemu żona się na ten pomysł tak krzywi, przecież zachęcała mnie bym trenował?

Dziku'2019

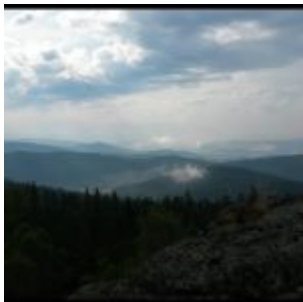


Na Szczelińcu Wielkim

Dzień 3/3 – Trawers



User comments



Widok ze skały po skończonym dniu



„Są tam jagody?”

Trawers

Wszelkie nocne akcje powodują u mnie odczucie, jakby to było we śnie. Klasycznym dla mnie przykładem była nocna eksploracja Jaskini Czarnej w Tatrach. Do dziś wspominam to jako coś, co równie dobrze mogło mi się przyśnić. I ta przygoda przeczy temu, jakoby mogło chodzić jedynie o brak światła, bo w jaskini jest zawsze tak samo ciemno. Ewidentnie musi tu chodzić o stan umysłu w godzinach nocnych. Na pewno organizm inaczej działa między 0:00 a 4 rano niż w środku dnia.

I tym razem nocny trawers wspominam, jak coś na pograniczu snu i jawy. Spod schronu wyruszyliśmy po godzinie drugiej a nasza droga niemal pokrywała się z letnią ścieżką. Tyle tylko, że teraz ukryta ona była pod głęboką warstwą śniegu. W świetle czołówki (i tu muszę się [przeprosić z siostrami Tikkin](#)) ciężko było mi ocenić zmieniające przede mną nachylenie stoku. Jednak jako dodatkowa kontrola pomagał na tym etapie Asi telefon z aplikacją zawierającą trasy.

Ten trawers to był inny świat, który znacznie bardziej złowrogo prezentował się pod nami, niż nad nami. Ukształtowanie terenu nie dawało za wielu szans w przypadku potknięcia lub utraty równowagi. A warto napomknąć, że na tym etapie szliśmy z całym dobytkiem, czyli każdy miał na plecach ciężki plecak. Nie pomagała też temperatura, bo śnieg nie był tak zmrożony, na jaki liczyliśmy. O ile jeszcze ja i Asia nie zakopywaliśmy się prawie wcale, to Sławek wyciągając nogi z dołków musiał się okrutnie napocić, żeby za nami nadążyć. Po blisko 3 km dotarliśmy jednak bezpiecznie do zejścia na lodowiec.

Trawers pokonany i nikt nie poleciał, a jak już wspomniałem lot w większości miejsc zakończyłby się zsunięciem i upadkiem z urwiska na lodowiec, bo nachylenie było zbyt duże, by tak po prostu wyhamować czekaniem.

Przełęcz

Szczęśliwie kończymy trawers i schodzimy na lodowiec. Wiążemy się liną, podchodzimy do wysokości ok. 2800 m n.p.m. i zostawiamy depozyt w postaci dwóch plecaków. Punkt zapisujemy w GPS, na wypadek gdyby mocniej sypnęło śniegiem. Teraz naszym kolejnym celem jest przełęcz Venedigerscharte na wysokości ok. 3400 m. Asia coraz mocniej odczuwa dolegliwości żołądkowe, a to ją mocno osłabia. Pomimo tego w dobrym tempie, praktycznie bez odpoczynku przemy do góry.

Pogoda jest coraz gorsza, zaczyna sypać mokry śnieg. Zgodnie z prognozą nie mamy co dziś liczyć na poprawę pogody. Dlatego mamy umówiony limit czasowy, czyli porę, o której bez względu na wszystko trzeba ruszyć w drogę powrotną. Nie zamierzamy ryzykować utknięciem w górach, w których z godziny na godzinę wzrosnąć może zagrożenie lawinowe. Na tym wyjeździe zresztą z założenia miał być zawsze ustawiony zawór bezpieczeństwa. Jednak nasze koło ratunkowe zużyło się koło wysokości 3000 m n.p.m., kiedy to padł GPS w telefonie. Teraz idziemy momentami na ślepo zdając się tylko na ukształtowanie terenu, a to

ewidentnie wskazuje, że zbliżamy się do przełęczy. Powoli stok się kładzie a nas uderza w twarz huraganowy wiatr. Gdzieś za plecami słyszę zdławiony okrzyk Asi.

Nie mam pojęcia co krzyknęła, ale nie muszę dopytywać. Cokolwiek to nie było, znaczenie mogło mieć tylko jedno: „SPIER...LAAAĆ!”. Bez słowa odwracam się na pięcie i pędzę na dół. Wejście w tych warunkach na lodowcowe plateau na przełęczy oznaczałoby samobójstwo. Jeśli nie zgubilibyśmy się od razu i nie zamarzli, to wpadlibyśmy do szczeliny, albo polecieli z nawisem na grani, albo najbardziej prawdopodobne: wszystko na raz.

Narzucone tempo, majdająca się lina pod nogami i do tego wszystkiego dolegliwości męczące Asię – to już nie miało w sobie nic z przyjemności. Chciałem jednak jak najszybciej wrócić do plecaków, które mógł zasypać śnieg, a GPS był już do końca wycieczki bezużyteczny. Powiem szczerze, że gdybym był wtedy na miejscu Asi odwiązałbym się od liny i pewnie rozpłakał. A tymczasem ona bez słowa narzekania parła do przodu. Choć wiedziałem to już przed wyjazdem, to znów potwierdziło się, że mam do czynienia z najsilniejszą kobietą i partnerem na najtrudniejsze warunki. W zawierusze gubimy nasze ślady, jednak ukształtowanie terenu sprzyja nawigowaniu bez wsparcia urządzeń. W końcu wychodzimy z zadymki i w oddali widzimy na lodowcu nasze plecaki.

Marsz

Lodowcem schodzimy do zamarzniętych jezior, tym samym opuszczając teren wysokogórski. Przed nami 15 km marszu doliną z gospodą Postalą w 1/3 drogi. Tam spożyjemy zupełną regeneracyjną i kubek herbaty z cukrem, a to nas postawi na nogi. Zanim jednak tam dotrzemy z pobliskich urwisk przed nami obsypią się dwie lawiny lodowe. Stresuje mnie to mocno, gdyż lodowe bryły przelatując w poprzek szlaku nie dają żadnych szans. Widzę świeżo ułupane drzewo, które oberwało bryłką wielkości piłki lekarskiej. Niemal przebiegam odcinki usłane

takimi lawinkami, wymijając lodowe fragmenty o rozmiarach od pięści do pralki. Tymczasem Sławek drepta jakby nigdy nic i humor go nie opuszcza. Ależ mi się ekipa trafiła nie do zajechania!

Popołudniu docieramy do auta, przebieramy się i natychmiast ruszamy do Polski. Sławek prowadzi przez większość drogi tak, jakby przez ostatnie kilka dni wypoczywał.

Od pobudki w schronie do momentu, kiedy znów położymy się w łózkach minie 27 godzin. Prawdziwy maraton. Ale... zgodnie z założeniami: wszystko było pod kontrolą, a szczyty były tylko dodatkiem.

tekst: **Dziku**

PS. Gdyby tego dnia dopisała pogoda, to nie mam najmniejszych wątpliwości, że zdobylibyśmy Grossvenedigera (3666 m). Byłaby to wisienka na torcie, którego udeptaliśmy naszymi stopami przechodząc po śniegu około 60 km w zaledwie 3 dni.



Majtki na działalność górską

Powyżej na zdjęciu przy schronie Gonella na [włoskiej stronie Mont Blanc](#)

Majtki – jakiegolwiek? Tak, jeżeli mowa o krótkim wypadzie (1 noc i blisko domu). Jeśli jednak planujemy działać przez kilka dni lub tygodni w terenie i w podróży, to bawełna może nam się dać mocno „odczuć”.

Attiq Meryl Skinlife – co to takiego ten meryl? W Internecie natknąłem się na informację, że *„dzięki obecności środka bakteriostatycznego w strukturze polimerowej włókna nie następuje migracja bakterii z materiału na skórę, chroniąc przed alergiami i nieprzyjemnymi zapachami”*. Jak by nie nazwać tej technologii to nie mogę zaprzeczyć jednemu: komfort jest zdecydowanie większy, niż w bokserkach bawełnianych. Nie chodzi tu o komfort podczas samego wysiłku/aktywności, lecz różnica pojawia się po spędzeniu w tej samej bieliźnie nocy, a potem następnego wysiłku i znów nocy... Przerabiałem różne wyjazdy, i bawełniane bokserki po zamknięciu się w śpiworze potrafiły zabić morale. W bokserkach z firmy Attiq takiego dyskomfortu nie zaznałem. Polecam zarówno na lato, jak i na zimę. Koszt w IV 2019 – 33 PLN.

Devold Breeze – podejrzewam (bo nie używałem), że jeszcze przyjemniej mogłoby być w bokserkach z merynosa. Koszt ok. 160 PLN. Dorzucam jako ciekawostka.

Skarpety na zimę

Powyżej na zdjęciu biwak w chatce podczas [zimowej wędrówki na Urału Subpolarnym](#)

Skarpety – jakiegokolwiek? Tak, ale zależy to od naszych predyspozycji. Grubsze nie oznacza lepsze. Jeśli nasza stopa będzie w bucie zbyt ściśnięta to utrudnimy w ten sposób krążenie krwi. Na pewno wybrane skarpety nie powinny nas ugniatać i obcierać w bucie, nie powinny się zawijać i samoczynnie zsuwać. Osobiście, z racji znacznej podatności moich stóp na odmrożenia stawiałbym na firmowe, porządne skarpety (patrz ramka niżej). Podczas testów na sobie pamiętajmy, że raz odmrożone palce będą niestety w przyszłości bardziej podatne na działanie mrozu.

Smartwool Mountaineering Extra Heavy Crew – w składzie 74% to wełna merino. Cena ok. 100 PLN za parę. Skarpety nie do zdarcia, dodatkowo nie chłoną nieprzyjemnych zapachów. Ich wzmacniana konstrukcja jest zaletą, ale jednocześnie powoduje, że są grube. Należy mieć to na uwadze przy wyborze rozmiaru buta – nie może być na styk. Gdybym kupował buty na zimę (mam tu na myśli również buty do nart biegowych), to przymierzałbym je właśnie na te skarpety.

Jeżeli jednak zbyt dopasowane buty kupiliśmy już wcześniej i czujemy, że stopa w tych skarpetach będzie zbyt ściśnięta, to wciąż pozostaje nam do wyboru sporo lepszych modeli z bogatej oferty Smartwoola.

Alternatywą jest również sięgnięcie po skarpety innej firmy. Z moich doświadczeń warto zainwestować również w firmę Devold. Modelu z 2010 roku używam zimą do dziś, a mając w pamięci ich cenę podejrzewam, że jest to coś zbliżone do modelu Alpine (koszt pary skarpet to ok. 130 PLN).

Czy to drogo? A która skarpetka w „normalnej cenie” wytrzymałaby 8 lat dość intensywnej eksploatacji?